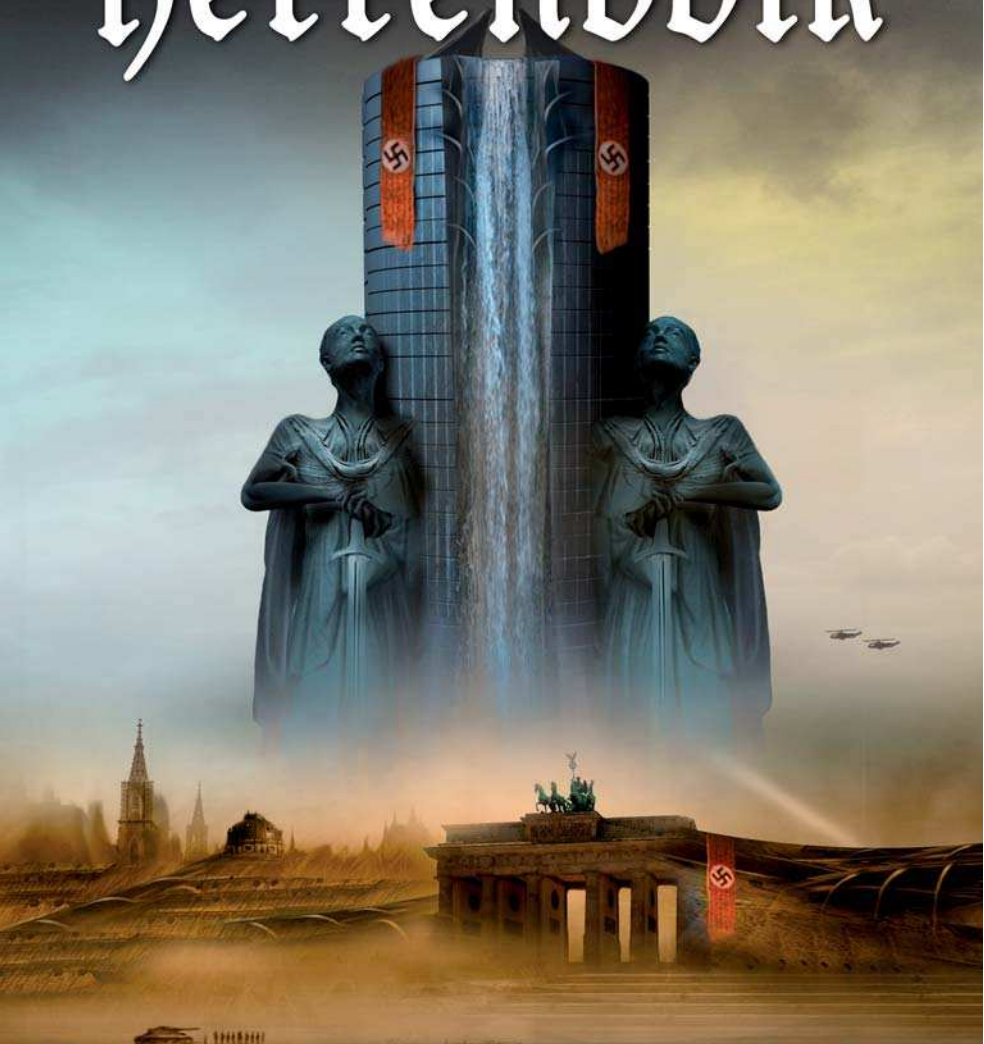


Sebastian  
Uznański  
herrenvolk



FOX PUBLISHING

herrenvolk

*Mojej żonie – Kasi*

Sebastian  
Uznański  
**herrenvolk**

Ilustracje: Mariusz Gandzel

FOX PUBLISHING



# Wina

## I

Śmierdział sobą.

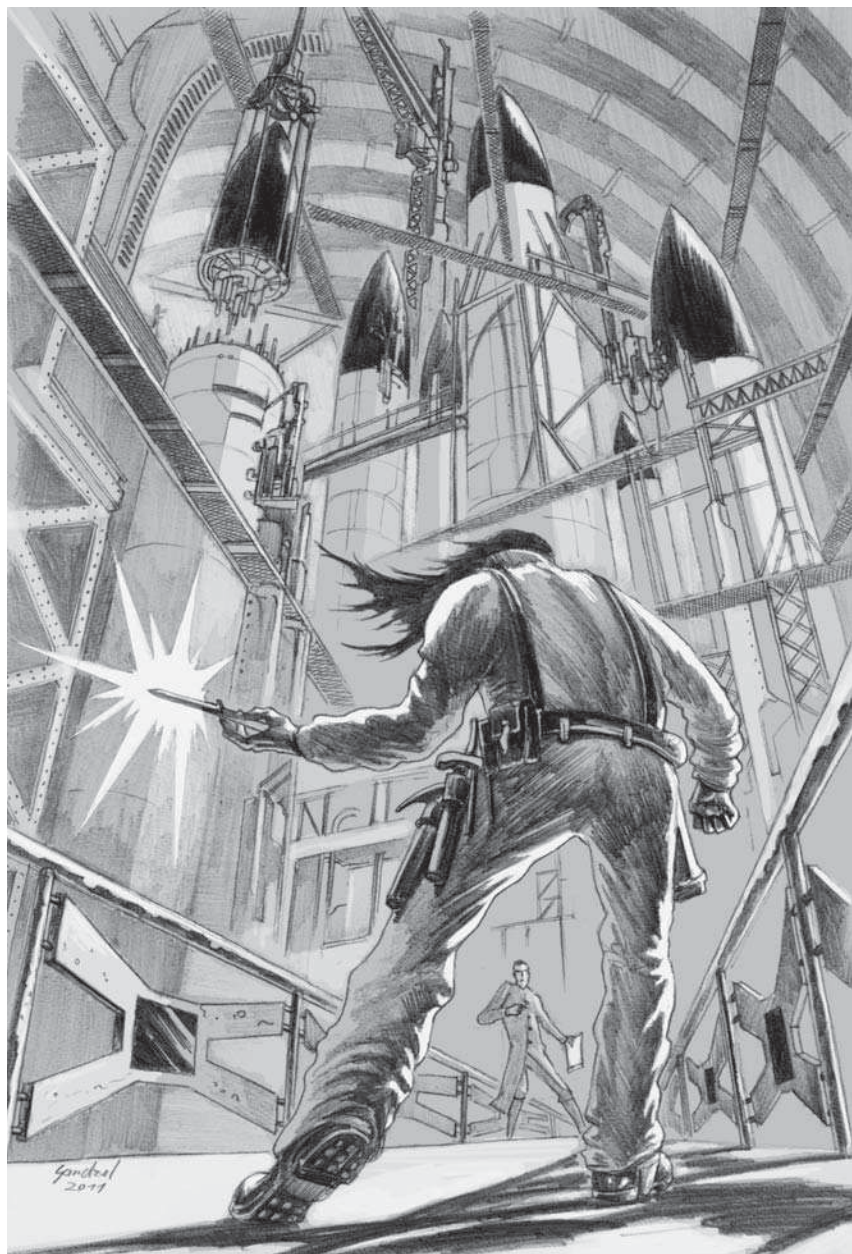
Oczywiście ciągle się okłamywał. Chodził nerwowym krokiem po ciasnej celi, przekonując samego siebie, że kwaśny zapach wydobywający się ze ścian to pot, jakim niegdyś dzień w dzień imprenowali je poprzedni więźniowie. Przyłapywał się na mamrotaniu pod nosem obelg miotanych to na swoją głupotę, to na strażników.

Nigdy nie wiedział, kiedy oprawcy po niego przyjdą. W areszcie SS rządziły nie ciemność i zimno, nie samotność i ból zmalowanego ciała, lecz nieujarzmiona trwoga. Gdy pierwszy raz go tu wrzucono, zaczerpnął w płuca lodowatego powietrza przesączonego wonią mokrych kamieni i żelaza. Z początku Sosnowski sądził, że czuje zapach kraty osłaniającej nieduże okienko w solidnych, dębowych drzwiach. Kierowany impulsem, podszedł i je powąchał. Jednak powietrze wciągane w nozdrza nasycone było tą samą żelazistą nutą i nie miało ani odrobiny więcej intensywnie słodkawego aromatu niż to, które dobiegało z korytarza i rozpyływało się po całej celi.

W nocy rozlegały się krzyki. W dzień też, tylko rzadziej. Artur wiedział, że podchodząc do krat i wachając je w irracjonalnym odruchu, próbował oszukać samego siebie. Wszędzie było duszno od zapachu krwi.

Niejasno zdawał sobie sprawę, że to jego krew. Więzienny szary uniform cały był w szkarłatnych plamach. Na szczęście pociekło tylko z nosa, dotąd mu się udawało.

Nagle serce mu zamarło, a trwoga ścisnęła gardło lodowatymi pazurami. Usłyszał ciężkie kroki na korytarzu. Towarzyszył im miarowy stukot pałki uderzającej o mur. Niegłośny, jednak Artur



nauczył się go nienawidzić. Skulił się, objął ramionami kolana. Błagał, by kroki nie ucichły.

Zgrzytnął zamek. SS-Scharführer Fichte miał tak szerokie bary, że ledwie mieścił się w drzwiach. Dłonie, osłonięte rękawiczkami, zaciskał w pięści wielkie jak bochny. Kiedy się poruszał, srebrne zygzaki SS wyglądały jak mknące błyskawice, a trupia czaszka na klamrze pasa z mottem: „Moim honorem jest wierność”, migotała złowrogo.

– Idziemy! – warknął.

Artur zerwał się szybko. Nie było sensu drażnić bestii.

Poprowadzono go korytarzem. Po obu stronach ciągnęły się drzwi z okratowanymi okienkami. Sosnowski, po raz nie wiadomo który, zadał sobie pytanie, jak głęboko pod ziemią się znajduje. Opanowało go poczucie beznadziei, wiedział, że stąd nie ma ucieczki. Nawet gdyby był komandosem i zdołał pokonać barczystego strażnika, ugrzązłby wewnątrz wrogiego kompleksu przypominającego labirynt. Nie miał złudzeń: nie wydostanie się na powierzchnię.

A komandosem niestety nie był. Nigdy w życiu się nie bił, a na dodatek należał do osób raczej cherlawych.

Korytarz się rozszerzył, więzień i Fichte doszli do miejsca, z którego wybiegały liczne tunele. Przy stoliku pod ścianą dwóch wartowników grało w karty, karabiny oparli o mur. Jeden z Niemców powiedział coś żartobliwie. Artur był otepiały, zresztą może tamten mówił niewyraźnie. W każdym razie mózg zarejestrował słowa dopiero po kilku sekundach: „Polska świnia prowadzona na ubój”.

Artur wszedł w kolejny korytarz, słysząc salwę śmiechów. Żołądek zwinął mu się w supeł.

Nieopodal znajdowały się uchylone drzwi. Na stołkach, sztywno wyprostowani, siedzieli młodzi esesmani, a starszy instruktor stał przy tablicy ze wskaźnikiem w dłoni. Kredą naszkicowany był wykres wzrostu. Oś poziomą oznaczono jako ból, pionową jako czas. Podpis głosił: „efektywność”.

Tym razem nie prowadzono Artura daleko. Fichte zapukał w następne drzwi. Otworzył mu SS-Arzt, który na mundur narzucyony miał jasnozielony fartuch lekarski.

Artur stłumił impuls, by uciec. W jego nozdrza wdarł się intensywny zapach żelaza, ten sam, który unosił się na korytarzu i dręczył go w celi. Tutaj jednak, mimo że mieszał się z odorem środków dezynfekcyjnych, był stokroć mocniejszy. Wywoływał u więźnia panikę i zwierzęcy instynkt, by ukryć się za wszelką cenę.

Fartuch SS-Arztę znaczyły brunatne plamy.

– Pod ścianę! – Artur poczuł pchnięcie w plecy. Musiał zrobić kilka kroków, by się nie przewrócić.

Rozejrzył się po pomieszczeniu. I pożałował, że nie zamknął oczu.

Pod ścianą stało drewniane krzesło z metalowymi obręczami na podłokietnikach i przy nogach. Obok stół, na którym leżały narzędzia ciesielskie: imadło, młotek, rozsypane gwoździe, obcęgi. A także maska gazowa, pejcz z metalową końcówką, niepasująca do zestawu elegancka papierośnica, wreszcie narzędzia, na pierwszy rzut oka przypominające chirurgiczne.

Posadzono go na krześle. Obręcze zatrasnęły się z metalicznym szczękiem. Artur nie próbował się wyrwać. Kiedyś, raz, na początku... Nadal mógł wyczuć językiem chwiejący się ząb. Nie było warto.

Mężczyzna w fartuchu podszedł do stołu i wziął gazową maskę. Koniec żebrowanej rurki miał domontowaną specjalną ruchomą zatyczkę, odcinającą dopływ powietrza.

– Jeżeli uszkodzisz mi mózg, nic ze mnie nie wyciągniecie. Niedotlenienie mózgu, ty jesteś lekarzem, powinieneś znać skutki.

– Powiesz to Obersturmbannführerowi Hagenderowi. – Lekarz założył Arturowi ciasną maskę. Oddychało się przez nią trudniej, ale przynajmniej miał dopływ powietrza.

Esesmani zapalili papierosy. Czekało na oficerów. Unieruchomiony na krześle Artur pogrążył się w rozmyślaniach.

Wrócił pamięcią do dnia, gdy obudził się nagi i zziębnięty w ciemnej uliczce. Niełatwo było uporządkować następne wydarzenia, okrywała je gęsta mgła. Czasami zdawało mu się, jakby to nie on wówczas decydował o swoim zachowaniu, jakby był tylko widzem dramatu. Niektórych fragmentów wcale nie potrafił

sobie przypomnieć. Najpierw znajdował się w jednym miejscu, potem zaś zobaczył siebie w innym. Był jak topielec, którego raz za razem przykrywa fala, posyłając w głębiny, a on rozpaczliwym wyrzutem ramion wydziera się odmętom, by zaczerpnąć haust powietrza.

\*

Młody mężczyzna spazmatycznie nabiera powietrza, niczym topielec wynurzający się z wody. Jest nagi jak go Bóg stworzył. Zimny marcowy wiatr wywołuje dreszcze, usta nieszczęśnika sinieją niemal natychmiast.

Podchodzi do ciepło ubranych ludzi, bełkocze coś do siebie, z trudem da się wyodrębnić słowa:

– Gdzie ja jestem? Co się dzieje?

Albo jakby parsknięcie, chichot szaleńca wytłumiony przez ściśnięte gardło:

– To jakiś pieprzony plan filmowy. Nic więcej.

Rzadko otrzymuje odpowiedź, przechodnie wołą raczej odejść. Niektórzy mamrocą pod nosem:

– Wariat. Wojna pomieszała mu zmysły.

Niektórzy ze współczuciem rzucają kilka słów pocieszenia.

Mężczyzna kuli się pod spojrzeciami, biegnie, zatacza się, wyciągając ręce przed siebie, płosząc kolejnych przechodniów. Wzrok prześlizguje się po znajomych kamienicach krakowskiego Starego Miasta, ale zamiast gąszczy neonowych reklam, napięrających jedna na drugą, z odrapanych fasad spływają czerwone wodospady nazistowskich oznaczeń. Osadzona w białym kręgu swastyka zdaje się wibrować pod jego rozmażanym spojrzeniem.

Mężczyzna chwytą kogoś za rękaw płaszczka.

– Kraków? – pyta bezradnie.

– Kraków – odwarkuje pochwycony gniewnie i wyrywa się gwałtownym szarpnięciem.

– ...ale i nie Kraków – mówi sam do siebie szaleniec.

Wybiega na środek skrzyżowania, zatrzymuje się, zamiera. Mijają sekundy, ciało nieszczęśnika dygocze z zimna, smagane bezlitośnie wiatrem niosącym drobne płatki śniegu. Są tak lodo-

wate, że gdy zderzają się z wyiębionym ciałem, zadają ból niczym ostrza. Mężczyzna nagle rozgląda się przytomniej, w prześwicie ulic miga mu fragment wawelskich wież.

Ulica pustoszeje, od skrzyżowania nadciągają żołnierze z wycelowanymi karabinami. Na rękawach mundurów czerwienią się opaski z białym kołem, wewnątrz którego pyszni się czarny charakterystyczny znak.

Z sinych warg Artura wydobywa się:

– Który mamy rok? Który mamy rok?

Pyta po polsku. Gestapowcy nie rozumieją.

\*

Samochód posuwał się po szosie mokrej od deszczu. Dwa proste strumienie światła wbijały się w mrok jak sztylety. Z przodu siedziało dwóch mężczyzn ubranych w czarne, nieprzemakalne płaszcze. Ten na miejscu pasażera na kolanach trzymał kapelusz.

Artur znajdował się z tyłu, skuty kajdankami. Wpatrywał się tępo w szybę. Na szkle drgające krople łączyły się w chybotliwe strumyki.

Samochód zatrzymał się przed biało-czerwonym szlabanem. Nikt go nie otworzył. Obok stała budka strażnika. Z dała majaczyły przez strugi wody światła nieodległego budynku.

– *Scheiße* – kierowca zaklął i zatrąbił dwa razy. Bez efektu. Zaklął po raz drugi i zgasił silnik.

– Gdzie mnie wieziecie? – zapytał Artur najczystszą niemiecką. Strażnicy odwrócili się zaskoczeni. Popatrzyli po sobie.

– Do szpitala. Zaopiekują się tam panem. Będzie dobrze – powiedział wreszcie pasażer z udawanym współczuciem w głosie.

– Nie jestem ranny. Nic mi nie jest.

– Fizycznie rzeczywiście jest pan zdrowy. Mimo to zdecydowano, że niezbędna jest rekonwalescencja. Udajemy się do sanatorium położonego w ładnej okolicy. Nie czuje się pan najlepiej... umysłowo.

W tej części Krakowa jedynym szpitalem jest Kobierzyn, pomyślał Artur. I zapytał:

– Którego dzisiaj mamy?

– Pyta pan o to w kółko. Jeszcze się panu nie znudziło? – parsknął szofer.

– Daj spokój. – Poklepał kolegę uspokajająco po ramieniu drugiego Niemiec. – Dwunastego kwietnia. A może trzynastego? Czy to ma jakieś znaczenie? Czy rzeczywiście trzeba biegać nago po ulicy, by próbować to ustalić?

– Nie, dzień nie ma znaczenia. Ale błagam na Boga, powiedzcie mi, którego roku?

– Czterdziestego, a co?

– 1940, prawda?

Kierowca parsknął coś pod nosem. Artur dawno nie używał niemieckiego, ale udało mu się zrozumieć powiedzenie: „Gadaj tu z wariatem”. Niemiec zapalił cygaro. Zatrąbił jeszcze dwa razy. Powietrze w kabinie zrobiło się gęste od dymu.

Z krzaków wyszedł żołnierz w kapturze osłaniającym hełm. Pospiesznie zapinał rozporek.

– Że też się komu chce łać w taki deszcz – skomentował kierowca.

– *Vernichtung von lebensunwertem Leben*, likwidacja życia niewartego życia – powiedział cicho Artur. I ogarnęła go panika. Zrozumiał, że wiozą go na śmierć. Koberzyn oznaczał wyrok.

Pasażer usłyszał, twarz mu drgnęła. Kierowca zakrzuszył się dymem.

– Nic panu nie będzie. Zaopiekują się panem – dodał uspokajająco.

– Gdybym ja wierzył w każde głupstwo, które usłyszę, też bym musiał wylądować w Koberzynie – zaśmiał się pasażer. – Anglicy mają na to określenie *urban legends*, legendy miejskie. W szpitalach nie dzieje się nikomu krzywda, tak jak w kanałach nie ma aligatorów.

Wartownik podszedł do samochodu. Błysnęła latarka, więzień zmrużył oczy. Strumień światła na jego twarzy zatrzymał się najdłużej, nim powrócił do trzymanego przy szybie papieru od niechcienia wyciągniętego przez pasażera.

Artur odczuwał się wreszcie, nawet w jego uszach głos zabrzmiał sztywno:

– E-Aktion to nazwa rządowego programu III Rzeszy zatwierdzonego przez Hitlera. Są na to dokumenty. W aligatora też bym uwierzył, gdybym zobaczył dowody.

Niemcy milczeli. Żołnierz zaczął podnosić szlaban. Nie szło mu dobrze, uchwyt kołowrotu ślizgał się w jego dłoniach. Metalowa rura podniosła się wreszcie powoli, zgrzytając niemiłosiernie. Deszcz zacinał ostro.

Warkot obudzonego silnika zakłócił ciszę.

– My tylko wykonujemy rozkazy – rzekł kierowca tak cicho, że ledwo go było słycać, a samochód zaczął się leniwie toczyć do przodu. A potem przyśpieszył gwałtownie. Artur zrozumiał, że gestapowcy chcieli tylko załatwić sprawę i zapomnieć o niej.

Widać już było szary masyw budynku.

– Jestem brytyjskim agentem. Symulowałem chorobę psychiczną, by uniknąć dekonspiracji.

– Mamy ci uwierzyć?

– A macie odpowiednie kompetencje, by podjąć decyzję, czy możecie mi wierzyć?

Kierowca zawrócił na niewielkim rondzie, okrążając zgrabny klomb róż. Zaskoczony wartownik nie zdążył jeszcze opuścić szlabanu. Zdumiony wpatrywał się w mijający go ponownie pojazd.

– Moim zdaniem jesteś głupi. Tutaj byłoby ci... lepiej. Każdego agenta musimy przekazać SS.

\*

Artura wyrwał z zamyślenia trzask otwieranych drzwi.

Krótko przystrzyżony blondyn, Obersturmbannführer Hagender, miał podłużną twarz, lekko wysuniętą dolną szczękę i bladobłękitne wargi, które mocno zaciskał. Mięśnie twarzy były napięte. Błękitne oczy nie zmieniały wyrazu, cokolwiek Hagender robił, a w podziemnym bunkrze zajmował się głównie paskudnymi rzeczami.

Na kołnierzu munduru nosił dwie błyskawice SS i cztery srebrne guzy obok podłużnego paska. Jeden guz migotał w plecionce na każdym ramieniu. Odpowiadało to randze podpułkownika.

Za nim do pomieszczenia wszedł Sturmbannführer Weiner. Włosy miał ciemniejsze, spojrzenie przenikliwe. Obaj oficerowie odpowiedzieli na hitlerowskie pozdrowienia lekarza i strażnika. Na palcu Weinerja mignął srebrny pierścień z trupią główką.

Artur poczuł, że dusi się wewnątrz maski. A esesmani nic mu jeszcze nie zrobili.

Hagender podszedł bliżej.

- Za dużo masz powietrza, Polaczku - zasyczał mu do ucha. - Przykręcimy odrobinę kureczek. Nie, nie zdechniesz od tego.

Artur zaczął szybciej oddychać. Nagle poczuł, że brakuje mu tlenu. Im szybciej oddychał, tym bardziej płuca chciały się powiększyć, wypełnić - i tym bardziej wzmagало się uczucie duszności. Poruszał ustami jak ryba wyrzucona z wody.

Naziści przypatrywali się jego klatce piersiowej z wyraźnym zadowoleniem. Ich twarze zamazały się Arturowi, bo para oddechu osiadła we wnętrzu maski. Lekarz poczęstował gości cygarami. Weiner odmówił, ale Hagender zaciągał się z radością.

Przed oczami uwięzionego zaczęły tańczyć ciemne plamy. Słyszał w uszach dudnienie przetaczającej się w żyłach krwi.

- Eee, bez żartów, Polaczek. My mamy dzisiaj pogadać. Dłużej niż ostatnio, jak żeś się od razu zesrał.

Fichte zaczął brutalnie ściągać Arturowi maskę. Guma szarpnęła boleśnie włosy.

- Cenię wasz naród, Polaczku, za jeden fakt. - Obersturmbannführer wypuścił kłąb dymu w twarz więźnia, próbującego rozpaczliwie złapać powietrze. Artur zaczął kaszleć. - Wymyśliście w czasach Bolesława Chrobrego fajny sposób na karanie mężczyzn sięgających po cudzą żonę. Prowadzono delikwenta na drewniany, solidny most. Sporym gwoździem przybijano genitalia do poręczy. I zostawiano go tam, w zasięgu ręki kładąc nóż.

Hagender, mówiąc to, wyraźnie się rozluźnił. Była to właśnie jedna z tych rzadkich chwil, gdy ten człowiek doznawał przyjemności.

- My, Niemcy, wbrew temu, co o nas mówią, nie boimy się czasem czerpać z doświadczeń innych ras, nawet gdy są gorsze od naszej. Szanujemy na przykład Amerykanów. Opowiem ci, jaką ich śledczy wymyślili metodę przesłuchań. Otóż gdy przesłuchi-

wany nie chciał gadać, otwierali mu usta, niekiedy siłą, a potem pompowali w niego wodę gumową rurką. Robili to tak długo, aż jego brzuch stawał się boleśnie wzdęty. Wtedy zaczynali delikwenta kopać. Gdy dalej nie chciał gadać, wówczas wpompowywano mu wodę do nosa. Jeśli dalej się opierał, wsypywali mu tam jeszcze soli.

– Ej, zsikał się. Już wodę wypuszcza, żeby miejsce robić – zarechotał Fichte.

– Na razie gadamy, Polaczk. Wyluzuj się trochę. – Hagender sięgnął po papierośnicę. – Poczęstujesz się?

Artur pokręcił głową.

– Nie palę.

– Masz rację, zaszkodziłbyś sobie. To dar od naszych radzieckich przyjaciół. NKWD sobie robi takie żarciki z więźniów. – Pstryknął kciukiem i wieczko odskoczyło, pokazując najeżony ostrzami mechanizm. – Pyk i zatrzaskuje ci się na palcach. Do kości.

Artur nieco się uspokoił. Ręce i tak miał związane, nie mógł sięgnąć po papierosa. Próbuje go tylko zastraszyć. Jeszcze nic mu nie chcą zrobić. Gdyby chcieli, ocuciliby go jak poprzednio, gdy puściły mu zwieracze i zemdłał.

– Ech, bracia wschodni. Pięcioletnie igły wbijają w czaszkę. Tak, żeby dotarły do mózgu. A potem pytają badanego, co o tym myśli. Podobno doszli do ciekawych wniosków. Odpowiedzi na te same pytania zmieniają się w zależności od liczby igieł. My tutaj dużo się nauczyliśmy z przeszłości. Ale stosujemy metody naukowe. Nie zadajemy bólu dla samego bólu. Obecny tutaj Herr Mengele – lekarz skłonił niedbale głowę – otworzył niejedną czaszkę i doszedł do jeszcze ciekawszych wniosków.

– Rzeczywiście, mózg ludzki pobudzany igłą daje odpowiedzi coraz bardziej dementywne, proporcjonalnie do liczby wkłuć. Przy dziesięciu wbitych igłach zaczyna się bełkot – odezwał się z arystokratycznym akcentem lekarz. Miał przyjemny, mocny głos i gdyby nie okoliczności spotkania, Artur mógłby przysiąc, że na pewno polubiłby tego człowieka.

Jednak patrząc w oczy Mengele, tak przerażająco puste, Sosnowski zrozumiał, że ci tutaj bawią się okrucieństwem i że nie

ma żadnej szansy. Nie wierzył już, że go oszczędzą. Ostatnim razem oprawcy pozwolili mu stracić przytomność, bo chcieli widocznie, by ta zabawa trwała jak najdłużej. Czas równie skutecznie łamie ludzi jak ból, przypominał sobie mijany podczas przejścia korytarzem wykład i wykres.

– Oczywiście – ciągnął lekarz – zależy to od grubości igieł, głębokości wkłucia i odporności osobniczej. Ale, co ciekawe, wkłucie jednej igły bardzo płytko, ale za to podłączonej do prądu, budzi niekiedy ciekawe doznania u naszych pacjentów. Czują zapach, smak, przed oczami przesuwały im się wspomnienia tak odległe, że wydawały się całkowicie zapomniane, a jednocześnie tak żywe, jakby pochodziły z wczoraj.

– Przyznamy ci się do czegoś. Marzymy z Herr Mengele, że uda nam się znaleźć idealną metodę przesłuchań. Doktorze?

– Chciałbym znaleźć partie mózgu odpowiedzialne za przechowywanie interesujących nas informacji – podjął wyjaśnienia Herr Mengele. – Potrzebny byłby tutaj jakiś rodzaj wyszukiwarki albo sondy, urządzenie przypinane do neuronów. Następnie wklepujemy na dołączonej klawiaturze interesujące nas słowo i *Heil Hitler!* – interesująca nas część mózgu zaznacza się na ekranie na czerwono. Paraliżujemy wbitymi igłami ośrodek wolicjonalny, pobudzamy prądem ten spuchnięty obszar i równocześnie ośrodek zawiadujący funkcją mowy, żeby jeszcze klient nam wszystko gładko opowiedział. *Gott mit uns!*

– Ech, marzenia, drogi doktorze. Jest pan dla nas bezcenny. Dba pan, by żaden podopieczny się nie wykrwawił i nie odszedł przedwcześnie. Pacjenci mają tutaj najlepszą opiekę, w polskich szpitalach chorzy umierają szybciej, proszę mi wierzyć. Doktor jest fachowcem najwyższej klasy. – Hagender życzliwie spojrział na lekarza. – Myślę, że rok, dwa i dostanie pan własną placówkę naukowo-badawczą na terenach należących do nowej Wielkiej Rzeszy. Wspaniałe ludzkie laboratorium.

– Dziękuję, Herr Obersturmbannführer. Martwi mnie jednak, czy otrzymam całkowitą swobodę naukową. Niepokoją mnie głosy, że dla potrzeb wielkiej armii powinienem w przyszłości zajmować się chorobami zakaźnymi.

– Zapewne pogodzi pan swoje pasje z obowiązkami wobec Führera i Rzeszy. Mijają lata i zmieniają się cele. Do przeszłości odchodzą piękne chwile, gdy musieliśmy wszystko wiedzieć o podległych nam ludziach. Nadchodzi czas wojny i próby, *Ragnarök*. Priorytety mogą się zmienić, a znalezienie skutecznego lekarstwa na zarazę, która osłabia naszych niezwykłych żołnierzy na froncie, to godny cel naukowych poszukiwań.

– Przywrócenie wzroku kalekim weteranom jest mniej istotne? – Mengele energicznie wskazał na szafę pod ścianą. Artur odwrócił głowę. Na półce stał okazały słoik z mętną ciemnozieloną substancją. Pływały w nim dziesiątki gałek ocznych, niektóre przykryte powiekami, inne wlokące za sobą nitki naczyń krwionośnych niby czerwone przewody.

– To piękny cel, drogi przyjacielu, ale przyznasz, że przeszczepy się nie przyjmują.

– Wszystko jest kwestią czasu. – Mengele z pewnością siebie wyduł wargi.

– I użyteczności dla Führera! A teraz Führer potrzebuje szczepionek i lekarstw na tyfus.

– Okaleczeni mogliby wracać na front z przeszczepionymi kończynami i znowu przyjmować kule za Tysiącletnią Rzeszę.

– Za ile lat będzie gotowa ta pańska metoda?

– Pięć do siedmiu? Może osiem.

Artur był pewien, że ci dwaj często celowo urządzali sobie takie pogaduszki przy więźniach. Skazany łowił zdania, starając się wychwycić każde słowo, które świadczyłyby, że za chwilę się nim zainteresują i zaczną swoje chore zabawy. Tymczasem Hagender perorował:

– Nie skończy pan przed dekadą, obaj o tym wiemy. Uda się, dobrze wiemy, że wszystko jest kwestią czasu i środków, a tych nie pożałujemy. Ale najpierw musi pan rozwiązać dla Rzeszy problem chorób zakaźnych. Widzisz, Josef – pierwszy raz Obersturmbannführer zwrócił się do doktora Mengele po imieniu, wyraźnie łagodząc ton – nam się wydaje, że Francja jest brudna, a Francuzki się nie podmywają. Ale wierz mi, że to nic przy smrodzie, jaki panuje na Wschodzie. Nasz wielki Führer obiecał nam

tam przestrzeń życiową. Każdy Niemiec otrzyma wspaniałą pałac otoczony hektarami najlepszej ziemi, na której będą pracować za-wszelni podludzie. Na Ukrainie i Rosji panują tyfus i dyzenteria, z głębokiej Azji przychodzą dżuma i cholera. Ale tyfus jest naj-gorszy. Musimy mieć leki i szczepionki. Inaczej nasze dzieci będą umierać i rasa wyginie.

- Nie dostrzegałem dotąd tego problemu. Oczywiście, badając tyfus, przysłużę się sprawie naszej rasy. Führer jest wielki!

- No to teraz zajmijmy się naszym kolegą. Znudził się tym naszym gadaniem i chyba zmarł, bo dygocze.

Fichte zaczął mocować na poręczy fotela masywne imadło. Tuż koło chudych palców więźnia.

- Nie dygocz, Polaczek. Nic się nie bój, na sali jest lekarz - powiedział, dokręcając śrubę.

- Tyłu podopiecznych nam poginęło, bo po utracie przytomności układaliśmy ich jak popadło i dochodziło do zachłyśnięcia wymiocinami, po prostu cholera człowieka bierze - wtrącił Hagender. - Wiesz, jak delikatne są pęcherzyki płucne? A jakie syfy nieraz człowiek bierze do gęby, szkoda gadać. My, Niemcy, jesteśmy narodem wegetarian, ale narody Wschodu jedzą jak świnie. A teraz wyobraź sobie rzygi w drzewie oskrzelowym. Fuj! I co jeszcze masz w żołądku? Kwasik. A jaki kwasik? Solny. A jak taki kwasik spłynie na pęcherzyki płucne, które są, jako się rzekło, delikatne, to spienią się i popękają jak bańki mydlane. Pfuuu! I co zaliczyliśmy? Zgonek.

- A wystarczy układać na boku - mruknął Mengele.

- Skończone. - Fichte dokręcił jeszcze raz śrubę i odsapnął z zadowoleniem.

- No to teraz do roboty. - Hagender zatarł dłonie. - Nie chcesz z nami rozmawiać? Stawiałeś warunki Wielkiej Rzeszy Niemieckiej? To my ci pokażemy, kto tu stawia warunki. Widziałeś kiedyś, co się dzieje z deszczułąką w imadle? Fichte, wsadźcie mu tam paluch. Bardzo dobrze. Otóż z kością dzieje się coś bardzo podobnego. Zaczyna się rozszczepiać, a ostre drzazgi kaleczą mięśnie i naczynia krwionośne. Krew wpływa między kości, tworząc barwną miazgę. Dokręcajcie, Fichte!

– Nie! Breeenner! – zaczął krzyczeć jak opętany Artur. – Uderzajcie przez przełęcz Brenner! Breeeenneer!

– I bardzo dobrze – uśmiechnął się Obersturmbannführer, dając znak pomagierowi, by przestał. – Zaczynasz gadać po ludzku. Teraz ja nadam pilną depeszę do sztabu, a jak wrócę, to sobie jeszcze pogawędzimy.

Wymaszerował napięty jak struna. Gdy zamknęły się za nim drzwi, dotąd milczący Weiner drgnął na krześle, jakby bił się z myślami, czy także wstać, czy pozostać na miejscu. Wreszcie ruszył w kierunku drzwi. Zanim wyszedł, odwrócił się raz jeszcze i powiedział do Fichtego:

– Rozepnijcie go i dajcie mu wody. Przecież stąd nie ucieknie. A zemdlec może. Idę nadać depeszę. Nie dotykajcie go, póki nie wrócę.

Trzasnęły drzwi, a Artur zastanawiał się, dlaczego dwóch oficerów SS poszło nadać dwie depesze.

\*

Wspomnienia zalały Artura taką czernią, jak czarna była opaska, którą przesłaniano mu oczy podczas transportu do podziemnego kompleksu pod Berlinem. Wykuta wraz z tysiącami korytarzy w skale monumentalna budowla była największym tego typu przedsięwzięciem na świecie. Kiedy zdjęto opaskę, Sosnowski ujrzał dziesiątki pięter przesuwających się za okratowaną, wolno jadącą windą. Na każdym dostrzegał ludzi w białych kitlach, brunatne mundury z czerwoną przepaską na ramieniu, szare kombinezony techników, których oczy osłaniały gogle z wielkim szkłem powiększającym, umocowanym w odległości dwudziestu centymetrów od twarzy na zginającym się metalowym łączniku. Wreszcie górników ze świdrami i kilofami, wciąż powiększających to podziemne miasto. Wydrążony w twardej wulkanicznej skale kompleks obronny Japończyków na Iwo Jimie jeszcze wtedy nie istniał, a przecież byłby jedynie małą osadą w porównaniu z Unterirdische Festung.

Wreszcie winda stanęła. Artura poprowadzono do niewielkiej sali przesłuchań i posadzono na drewnianym stołku. Siedzący przy biurku oficer miał dystynkcje Sturmbannführera. Artur

odniósł wrażenie, że gdy wchodził, srebrny pierścień z trupa czaszką błysnął upiornie na dłoni mężczyzny. Zaraz potem mocne światło reflektora oślepiło więźnia i nie widział już nic, tylko blask.

– Nazywam się Sturmbannführer Gerhard Weiner. Pan zatem szpieguje dla Brytyjczyków. Z jaką misją pana wysłano? Kto jest pańskim przełożonym?

– Nie jestem szpiegiem. Powiedziałem tak tym durniom, którzy mnie zatrzymali, by uniknąć szpitala. W prawdę by nie uwierzyli.

– Jaka zatem jest prawda?

Artur zawahał się. Wiele zależało od tego, jakim człowiekiem był ten, który go przesłuchiwał. Oficer, to już dobrze, znaczy, że posiadał pewną dozę wyobraźni i inteligencji. Czy to jednak wystarczy, by objąć rozumem zdarzenia, których nie pojmował nawet sam Artur, mimo że przecież widział rzeczy, o których ludziom tutaj się jeszcze nie śniło?

Tak czy inaczej, nie miał wyboru.

– Prawda jest taka, że przybywam z przyszłości.

– Tak? – Weiner zdziwił się uprzejmie. – Z którego roku?

Artur zawahał się. Co szkodziło powiedzieć prawdę? Ale z niewiadomego dla siebie powodu skłamał.

– Z 1960.

– Tak? – Mimo że nic nie widział, więzień był pewien, że rozmówca uśmiecha się uprzejmie. – A jak to się stało, że znalazł się pan w naszych pięknych czasach?

– Sam nie wiem. Szedłem sobie nad Wisłą u stóp Wawelu i nic więcej nie pamiętam. Potem już brnąłem w majaku przez miasto. Ja naprawdę niewiele pamiętam.

– Jakże wygodnie... – mruknął Weiner. – Zapewne sprowadzono pana tu w jakiejś misji. Może... uratowania świata? – podsunął.

– Nie wiem. – Artur wzruszył bezradnie ramionami. Czy zaczęły go boleć od tego jaskrawego światła. – Nie wiem, czy znalazłem się tu po coś. Nie chciałem tego. Szczerze mówiąc, wolałbym teraz być w domu.

– Każdy by wolał. Dobra, Sosnowski, mam co do pana jasność. Scharführer Fichte – zwrócił się do wyprężonego jak struna olbrzyma